



Kryminał z myszką

46

Strefa cienia

Kazimierz
Korkozowicz

Kazimierz Korkozowicz

STREFA CIENIA

Kryminał z myszką – Tom 46

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-31-7

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: MON, Warszawa 1979, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Wąską Anna Gasse wypełniał cień. Tylko wierzchołki kamienic stojących po jednej stronie ulicy oblewało słońce.

Była piąta po południu. Młody mężczyzna szedł chodnikiem, lustrując wzrokiem mijane domy, i szukał sklepu, którego adresu nie wolno mu było zapisać.

Z ośmiu dni orbisowskiej wycieczki pięć pochłonęło zwiedzanie miasta. Dla zachowania pozorów należało wziąć w tym udział, toteż widoki Belwederu, Schönbrunnu, Prateru, pałace Fürstenbergów, Esterhazych, Dietrichsteinów i wiele innych majaczyły mu jeszcze w pamięci; obrazy i rzeźby z Muzeum Sztuki i Natury pozostawiły wrażenie chaosu barw i konturów, a neogotyckie piękno ratusza i romańskie reliefy katedry Świętego Stefana nie znikwały spod powiek, mimo że oglądał je bez zainteresowania.

Coraz bardziej bowiem nurtowała go obawa, czy starczy mu czasu na realizację zamiaru, który był główną przyczyną tego wyjazdu.

Dopiero w ostatnich dniach program pobytu uległ rozluźnieniu i członkowie wycieczki mieli więcej swobody. Skorzystał z tego natychmiast. Zgodnie z otrzymanymi wskazówkami minął Operę i z Künstler Strasse, w obrębie Ringu, skręcił w prawo. W ten sposób znalazł Anna Gasse, z kolei szukał sklepu z pamiątkami.

Wreszcie go ujrzał. Numer domu się zgadzał, a obok drzwi – zgodnie z tym, co mu wcześniej powiedziano – wisiała stara, kuta w żelazie latarnia, kiedyś naftowa, teraz zapewne z ukrytą za mlecznym szkłem żarówką.

I adres, i wskazówki uzyskał po długich staraniach. Obecnie jednak, kiedy nadeszła chwila realizacji powziętego wcześniej zamiaru, zaczął odczuwać obawę przed niewiadomym. W Warszawie wszystko wydawało się łatwiejsze i prostsze.

Nie była to jednak chwila odpowiednia na rozterkę czy wahania, toteż pchnął drzwi.

Sklep był długi i wąski. Za ladą, biegnącą wzdłuż oszklonych gablot, stary człowiek w ciemnym surducie pochylał się ku parze klientów prowadząc z nimi przyciszoną rozmowę. Ostrołukowe sklepienie sufitu, lekki półmrok i ta przyciszona rozmowa sprawiały wrażenie raczej wnętrza kaplicy niż sklepu z pamiątkami.

Właściciel, nie przerywając rozmowy, przesunął po nowym kliencie spojrzeniem znad opuszczonych na koniec nosa okularów, po czym znów całą uwagę poświęcił przeprowadzanej transakcji.

Młody mężczyzna rozejrzał się tymczasem dokładniej po wnętrzu. Za oszklonymi gablotami pełno było zarówno banalnych wyrobów przemysłowych branży pamiątkarskiej, jak i oryginalnych, ludowych z Tyrolu, Adalbergu, Styrii czy Koryntii. Po przeciwległej stronie stały bębny z mnóstwem kolorowych pocztówek. Zatrzymał się przed nimi i obracając z wolna, oglądał jaskrawe zdjęcia.

Wreszcie właściciel zwrócił się do niego.

– Interesują pana tylko pocztówki? Jak pan widzi, mam w dużym wyborze i inne pamiątki z naszego kraju.

Przybysz zbliżył się do lady.

– Istotnie wybór imponujący – rzucił z uśmiechem, podnosząc wzrok na starego człowieka. Ujrzał chudą twarz o zapadniętych policzkach i utkwione w siebie życzliwe, ale taksujące spojrzenie jasnoniebieskich oczu.

– Proszę niech pan obejrzy. – Chuda dłoń wskazała gabloty.

– Słyszałem o panu od przyjaciół, którzy odwiedzali pański sklep. Widzę, że ich pochwały nie były przesadzone – Młody mężczyzna stanął przed szybami gablot.

– Mówi pan nieźle po niemiecku, ale akcent zdradza jednak cudzoziemca...

– Ma pan rację. Jestem tu z wycieczką z Warszawy.

– Ach, z Warszawy... – Stary pokiwał głową, a potem dorzucił z uśmiechem: – Polacy zatem również wiedzą, że do Kaufmana warto zajrzeć, jeśli się chce kupić coś pięknego.

W tej chwili do sklepu weszło paru nowych klientów. Młody człowiek odszedł od lady i ostentacyjnie powrócił do oglądania pocztówek. Przerwa w rozmowie była mu na rękę, gdyż pozwalała na zaakcentowanie, że pragnie odbyć ją bez świadków.

Został widać zrozumiany należycie, bo kiedy kolejni nabywcy wyszli, właściciel zwrócił się do niego już innym tonem:

– No, teraz możemy sobie pogawędzić bez przeszkód. Ruch już mniejszy, bo sezon właściwie się skończył. W pełni lata mam urwanie głowy. Muszą mi pomagać żona i córka.

Młody człowiek utkwiał spojrzenie w oczach starego kupca i rzucił lekkim tonem:

– Czy tylko sprzedaż daje zyski? Nieraz kupno jest lepszym interesem...

Kaufman opuścił wzrok i uśmiechnął się nieznacznie.

– Ma pan zupełną rację, panie...

– Powiedzmy Kowalski...

– Och, te polskie nazwiska są tak trudne do wymawiania. A więc, panie Kowalski, istotnie jest tak, jak pan mówi, bo aby sprzedawać, trzeba i kupować. Ale zależy, co się kupuje. Nie na wszystkim można zarobić. Bywają potem kłopoty...

– Każdy interes to ryzyko. Ale im większe ryzyko, tym większy zarobek. To stara kupiecka zasada.

Pan Kaufman pokiwał głową, a potem utkwiał spojrzenie w twarzy swego gościa.

– A konkretnie? Czas, aby pan powiedział, o co chodzi. Co miałbym kupić?

– Obiekt jest kosztowny, sądzę więc, że pan sam nie będzie w stanie przeprowadzić tej transakcji...

– O to proszę się nie martwić. Ale co to jest?

– Pięć kartek maszynopisu.

Stary spojrział na młodego mężczyznę nieco ironicznie.

– I to ma być przedmiot transakcji? Muszą zawierać niezwykłą treść...

– Właśnie. Bardziej niezwykłą, niż się pan spodziewa. Ich wartość trudno przeliczać na pieniądze, ale może wystarczy panu, jeśli powiem, że zawierają ładunek, który wstrząśnie światowym rynkiem!

– Czy to nie przesada? Wiem, jak bardzo właściciele przeceniają posiadane przez siebie przedmioty.

– W mojej ocenie nie ma przesady.

– A zatem: co zawierają te kartki?

– O tym chwilowo wolę nie mówić.

– A kiedy? Powiedział pan, że nie stać mnie na sfinansowanie tej transakcji. Być może. Ale czy mogę pośredniczyć na ślepo? Przyjść do przyjaciół i zaproponować im, by kupili pięć kartek papieru?

Kowalski musiał uznać wagę tego argumentu. Stary na pewno był tylko pośrednikiem, a zbyt ogólnikowa oferta nie zainteresuje ludzi, na usługach których pozostaje. Aby zrealizować swoje plany, musiał zaryzykować. Milczał, zastanawiając się, jaką przyjąć taktykę. Stary nie ponaglał, ale obserwował go tylko z lekkim uśmiechem.

– A jeśli panu powiem i nie dojdziemy do porozumienia? Co potem? – Kowalski dał wyraz swoim wątpliwościom.

– Tym proszę się nie niepokoić. Po prostu zapomnę, że pan był kiedykolwiek u mnie. Nigdy pana nie widziałem, nigdzie nie spotkałem.

– To są tylko słowa.

– Obaj operujemy tylko słowami. A ja? Skąd mogę wiedzieć, czy istotnie jest pan zagranicznym gościem, a nie, hm, czyimś wysłannikiem.

– A wzór mojego krawata?

– Dlatego z panem rozmawiam. Inaczej w ogóle nie poruszałbym takiego tematu. Kowalski powziął decyzję.

– A więc dobrze. Te kartki zawierają nowo odkrytą metodę produkcji.

– Czego?

– Zastępczego paliwa do silników i turbin.

Stary milczał przez chwilę.

– Hm... no dobrze... – przemówił wreszcie. – To dziedzina, na której się nie znam, ale nie ja będę decydował. Spróbuję, może niektórzy moi przyjaciele tym się zainteresują. Jak długo będzie pan jeszcze w Wiedniu?

– Dwa dni.

– Proszę zatem przyjść tu jutro, powiedzmy o jedenastej. Odwiedzenie mojego sklepu nikomu nie wyda się podejrzanym, moja klientela to głównie cudzoziemcy.

Następnego dnia Kowalski zgłosił się o wyznaczonej godzinie. W sklepie było wprowadzie kilka osób, ale stary kupiec przywitał go swobodnym skinieniem głowy i wskazując ręką drzwi, znajdujące się w głębi pomieszczenia, rzucił przyjacielsko:

– Niech pan przejdzie do biura, mój kochany.

To „mein Lieber”, stwarzające pozory zażyłej znajomości, zdradzało jednocześnie, że Kaufman nie po raz pierwszy był w podobnej sytuacji.

Kowalski bez dalszych pytań ruszył zdecydowanym krokiem w głąb sklepu i po chwili znalazł się w mrocznym korytarzyku. Zza oszklonych drzwi znajdujących się przed nim dochodził brzęk kuchennych naczyń, na prawych widniał biały szyldzik z czarnym napisem: „Kantor”.

Nacisnął klamkę i przestąpił próg. Pokój był nieduży, o jednym oknie. Stało przy nim staroświeckie biurko. Całą boczną ścianę zajmowały półki z segregatorami, a pod drugą, obok małego stolika, dwa fotele czekały na gości. Jeden z nich zajmował mężczyzna pochłonięty czytaniem gazety. Na odgłos otwieranych drzwi uniósł głowę, odłożył gazetę i wstał z fotela.

Był wysoki i szczupły, ciemne ubranie z dobrego materiału o nieskazitelnym kroju zdradzało dbałość o wygląd. Ściągnął, suchą twarz ożywiały ciemne oczy o badawczym, ostrym spojrzeniu. Gładko zaczesane włosy przyprószały już początki siwizny.

– Pan Kowalski? – Wymówił nazwisko bez obcego akcentu. – Proszę, niech pan siada.

– Wskazał dłonią fotel, nie przedstawiając się. – Tu możemy pogawędzić bez przeszkód.

Nieznajomy mówił po polsku z zupełną swobodą. Kowalski nie pytał jednak, skąd tak dobrze zna język, bo nie to go interesowało. Zajął wskazany fotel i czekał na zagajenie rozmowy przez partnera. Nieznajomy rozpoczął ją bez zbędnych wstępów.

– Wiem już coś niecoś o pana propozycji. Może teraz zechce pan podać nieco więcej szczegółów?

Ponieważ był przygotowany na takie właśnie pytanie, odpowiedział od razu.

– Wie pan, co chcę sprzedać. Ogólnoświatowy kryzys naftowy sprawił, że jeden z naszych profesorów zajął się zagadnieniem wykorzystania alkoholu do produkcji paliwa zastępczego. Jedyнным wchodzącym w rachubę jest alkohol metylowy. Metanol, jak pan zapewne wie, jest paliwem czystszy niż benzyna, jeśli chodzi o spaliny i może być stosowany również w turbinach. Problem dotąd polegał jednak na tym, że ma on o połowę mniejszą niż benzyna siłę napędową. Trzeba go więc tankować dwa razy więcej, co pociąga za sobą odpowiednie zwiększenie zbiorników i wagi paliwa, a zatem zmniejsza znacznie udźwig pojazdu. Otóż technologia produkcji opracowana przez naszego profesora pozwala na uzyskiwanie metanolu o podwójnej mocy na jednostkę miary. A więc jest to paliwo równie wydajne jak benzyna, ale znacznie tańsze. Mam tę technologię.

– W jakiej formie?

– Odbitek fotograficznych. Jest to szczegółowe opracowanie wraz z wzorami chemicznymi.

– Nad tym problemem pracują na Zachodzie największe asy z tej branży. Jak dotąd niestety, a może na szczęście, bezskutecznie. A pan twierdzi, że waszemu profesorowi udało się rozwiązać to zagadnienie... – Ostatnim słowem towarzyszyło ironiczne skrzywienie ust.

– Mówię to z całą odpowiedzialnością. – Ton oświadczenia zdradzał absolutną pewność siebie.

Nieznajomy czas jakiś przyglądał się bez słowa swemu rozmówcy, a potem powiedział:

– Nic o tych pracach nie słyszeliśmy. Czy nie przecenia pan wartości posiadanych materiałów?

– Nie, na pewno nie. Nie słyszeliście, bo prace trzymane są w ścisłej tajemnicy. Ale na Międzynarodowym Sympozjum Chemików, które za dwa tygodnie ma się odbyć w Warszawie, już usłyszycie o paliwie zastępczym, bo profesor ma wygłosić referat na ten temat, rzecz jasna nie wdając się w szczegóły.

– Jak się nazywa profesor?

– Wierzba.

Nieznajomy znów zamilkł, bezceremonialnie przyglądając się młodemu mężczyźnie.

– I udało się panu zdobyć te materiały? – padło po chwili kolejne pytanie.

– Tak.

– Jakiego rodzaju kontakty utrzymuje pan z profesorem?

– Na to pytanie odmawiam odpowiedzi! Sposób, w jaki zdobyłem te materiały, jest tylko moją sprawą! – Kowalski nie potrafił opanować rozdrażnienia.

– Pan powinien nauczyć się udzielania odpowiedzi na wszystkie nasze pytania. – Nieznajomy powiedział to spokojnie, ale właśnie ten spokój nie podobał się Kowalskiemu. – Im prędzej pan się do tego dostosuje, tym będzie dla pana lepiej. Na razie poprzestaję tylko na ostrzeżeniu.

– A decyzja? – Młody mężczyzna usiłował zmienić temat, by nie zadrażniać sytuacji.

– Zastanowimy się nad pana propozycją. Kiedy wraca pan do kraju?

– Już jutro wieczorem.

– Zna pan dobrze Wiedeń?

– Nie. Jestem tu pierwszy raz.

– Nie szkodzi. Jeszcze dziś o godzinie dwudziestej będzie na pana czekał samochód na rogu Buchwald i Schmid Gasse. Są to uliczki znajdujące się na zapleczu ratusza, znajdzie je pan bez trudności. Jeśli zrezygnujemy z dalszych rozmów, samochodu nie będzie, więc proszę nie czekać.

– A jeśli będzie, to po czym go poznam?

– To czarny mercedes, stary typ. Pozna go pan po niemodnej karoserii.

– Czy może pan mnie zorientować, z kim nawiązuję kontakt? Pan Kaufman nic mi o panu nie mówił, a pragnąłbym wiedzieć, kto jest moim partnerem...

Nieznajomy wstał z krzesła.

– Partnerem? – powtórzył i zaśmiał się ironicznie. – Niech pan nie będzie dziecinny, panie, jak panu tam... Od tej chwili jesteśmy zleceniodawcami, a pan wykonawcą. Proszę to zapamiętać!

– Nie pozwolę się tak traktować! – Kowalski zaskoczony pogardliwym tonem zerwał się na nogi, próbując zaprotestować. – Poza tym nie omówiliśmy jeszcze strony materialnej!

– Na to jest jeszcze za wcześnie. O swoim wynagrodzeniu i tym podobnych sprawach usłyszysz pan w czasie następnego spotkania – rzucił zimno nieznajomy, wyciągając końce palców na pożegnanie.

Czarną, kanciastą limuzynę stojącą przy krawężniku Kowalski ujrzał już z daleka. Na jej widok napięcie i strach, które niby uprzykrzone ćmienie zęba odczuwał przez całe południe, minęły przynosząc odprężenie. A więc propozycja chwyciła.

Podszedł do samochodu i otworzył drzwiczki. W rogu, na obszernym siedzeniu obitym wytartą już skórą, dojrzał mężczyznę, z którym rozmawiał w południe. Ten skinął ręką, przynaglając go do wsiadania, a potem, kiedy przybysz zajął miejsce, zastukał lekko w szybę oddzielającą wewnątrz od kierowcy i wóz z wolna ruszył.

Kowalski, który początkowo postanowił obserwować trasę, wkrótce musiał zrezygnować z tego zamiaru, bo mercedes skręcał raz po raz. Ulice były podobne, szybko więc stracił orientację. Przyszło mu na myśl, że skomplikowana trasa przejazdu została obrana celowo, a pytanie, czy zna miasto, również nie było przypadkowe.

Po dwudziestu minutach jazdy wóz skręcił w jakąś boczną, źle oświetloną uliczkę i zatrzymał się przed trzypiętrową kamienicą, która przypomniała Kowalskiemu podobne, ocalałe po powstaniu na Nowogrodzkiej, Żurawiej czy Hożej.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył nieznajomy.

Minęli mroczną bramę, potem równie źle oświetlone podwórko. Kowalski szedł za nieznajomym, który prowadził go bez słowa.

Klatka schodowa miała wprawdzie drewniane schody, ale była widna i czysta. Nieznajomy zatrzymał się na drugim piętrze i przekręcił uchwyt ręcznego dzwonka na najbliższych drzwiach. Kiedy otwarły się, zapraszającym gestem wskazał towarzyszowi drogę.

W długim przedpokoju znajdowało się kilkoro drzwi. Przy jednej ze ścian stały drewniane wieszaki i tremo sięgające prawie sufitu. Szczegóły te Kowalski dostrzegł mimochodem, bo całą jego uwagę skupił osobnik, który przed chwilą otworzył im drzwi.

Był to tęgi mężczyzna o wystającym brzuchu, pełnych, nalanych policzkach i nabrzmiątych powiekach. Spomiędzy nich świeciły oczy o ostrym, przenikliwym spojrzeniu. Przesunęło się ono po przybyszu, który odniósł wrażenie, że został sfotografowany.

Grubas wyciągnął miękką dłoń o pulchnych palcach i po tym milczącym powitaniu, nadal bez słowa, ruszył w głąb korytarza.

Pokój, do którego weszli, był obszerny i umeblowany staromodnie. Mimo napięcia, jakiemu uległ, Kowalski niemal z rozbawieniem spoglądał na pluszowe zasłony zaciągnięte na oknach, kanapę o secesyjnych liniach pokrytą połyskującym, brokatowym obiciem i fotele z rzeźbionymi poręczami i oparciami w kształcie konch. Stojący pomiędzy nimi okrągły blat stołu wspierał się na nogach, wygiętych misternie w wydłużoną literę „S”. Wszystko to robiło wrażenie dekoracji do filmu z czasów ubiegłego stulecia.

Pomyślał, że zarówno ów mieszczański salon sprzed stu lat, jak i lichy klatka schodowa nie wskazuje na zbytnią zamożność właścicieli, ale zaraz też uświadomił sobie, że było to zapewne celowo wybrane miejsce, wykorzystywane właśnie dla tego rodzaju kontaktów.

Z fotela podniósł się drugi mężczyzna. Jego kruczoczarne włosy lśniły od brylantyny, a grube wargi rozchyłał powitalny uśmiech. Jednak czarne oczy, połyskujące na tle oliwkowej cery, nie brały udziału w tym uśmiechu. Ich badawcze spojrzenie zlustrowało przybysza, a dopiero potem wyciągnęła się ku niemu upierścieniona dłoń.

Nozdrza Kowalskiego musnął zapach perfum.

– Oto nasz gość, panowie – przedstawił go dotychczasowy przewodnik.

– Proszę – grubas ruchem dłoni, w którym było coś rozkazującego, wskazał jeden z foteli. – Czego się pan napije: whisky czy sherry?

Kowalski odmówił i zająwszy wskazane miejsce, milczał wyczekująco.

– Słyszeliśmy o pana propozycji – zagaił grubas – ale zanim ją rozważymy, musimy zaznajomić się z materiałem. Pańskie optymistyczne zapewnienia nam nie wystarczą.

– Czy przywiózł go pan ze sobą? – wtrącił się do rozmowy brunet. Dotychczasowy towarzysz Kowalskiego nie zabierał obecnie głosu. Usiadł na uboczu i w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

– Nie przywiozłem, bo uważałem to za zbyt niebezpieczne. Ale znam jego wartość i mogę zapewnić, że jest duża. Chodzi przecież o pełną i dokładną dokumentację dotyczącą wiadomej już panom produkcji.

– Mam nadzieję, że ta pewność siebie jest uzasadniona i jest pan na tyle rozsądny, by nie wprowadzać nas w błąd. Bardzo nie lubimy przesady – uzupełnił grubas.

W jego głosie zabrzmiała groźba. Nastrój, w którym rozpoczęła się rozmowa, był daleki od przewidywań Kowalskiego i sprawił, że znów naszło go nieprzyjemne uczucie konsternacji i niepokoju. Liczył się z trudnościami tej rozmowy, ale raczej o charakterze handlowym. Targami o cenę, badaniem jego osoby czy kontaktów, ale nie wręcz lekceważącym traktowaniem. Już podczas pierwszej rozmowy w sklepie był zaskoczony tonem niektórych wypowiedzi. Łudził się jednak, że ma do czynienia z indywidualnym sposobem bycia, ale w szerszym gronie zdoła wrócić do rangi pełnoprawnego partnerstwa. Teraz zaczęła się w nim rodzić obawa, że niczego nie zdoła już zmienić. Usiłował jednak takiej próby dokonać.

– Ja też jej nie lubię – odpowiedział, siłąc się na spokój. – Poza tym chcę zwrócić uwagę, że jak dotąd mówimy tylko o tym, co ja mam do ofiarowania, natomiast nie padło ani jedno słowo o tym, na co mogę liczyć ze strony panów... Może usłyszę wreszcie cenę.

– Nie ma mowy o żadnej cenie! – prychnął grubas. – Przecież wartość obiektu znamy tylko z pana opisu! Niech pan nie plecie bzdur!

Kowalski zacisnął usta, starając się opanować. Odezwał się dopiero po chwili.

– A więc dobrze... Za dwa tygodnie odbędzie się w Warszawie sympozjum chemików z udziałem zagranicznych gości. Sądzę, że potrafią panowie wysłać tam jako uczestnika zaufanego człowieka, który będzie się znał na rzeczy. Po nawiązaniu ze mną kontaktu otrzyma materiał do wglądu. Zakładam, że żadna niespodzianka z jego strony mnie nie spotka... Zresztą postaram się zabezpieczyć przed taką ewentualnością.

– Jak pan sobie wyobraża nawiązanie tego kontaktu?

– Wysłannik panów zgłosi się pod podany przeze mnie adres, a wówczas wyznaczę mu czas i miejsce następnego spotkania. Bo w tym pierwszym miejscu może się pojawić tylko raz.

– O następnym spotkaniu nie pan będzie decydował. Jaki to adres i kto tam mieszka?

– Jest to stara, samotna kobieta, dawna przyjaciółka mojej matki.

– Jej adres?

Kowalski po krótkim wahaniu podał ulicę i numer domu.

Grubas wyjął kartę papieru i podsunął ją wraz z długopisem Kowalskiemu.

– Proszę zrobić szkic trasy i położenie domu.

Ten uniósł brwi ze zdziwieniem, ale wykonał polecenie. Oddając szkic, zapytał:

– Kiedy mogę go oczekiwać?

– W ciągu najbliższych dwóch tygodni, w dni parzyste. Otrzyma pan pozdrowienia dla Jana Grubera oraz informację, że paczka zostanie wysłana pocztą. Odpowie pan, że wiadomość ta zostanie przekazana ciotce Matyldzie. A poza tym...

Grubas urwał, podsunął ku sobie stojący na stole talerzyk do owoców, obrócił spodek do góry i uderzył weń pięścią. Następnie wybrał ze skorup dwa kawałki i jeden z nich podał Kowalskiemu.

– Podczas spotkania nasz człowiek wręczy panu kawałek talerzyka, który jednym z boków musi pasować do tego. Proszę.

– Może być i tak – rzekł pojednawczo Kowalski.

– Pana sprzeciw czy zgoda mało mnie obchodzą – usłyszał w odpowiedzi. – Proszę powtórzyć otrzymane wskazówki.

Kowalski spełnił polecenie, ale próbował jeszcze zaprotestować:

– Wciąż jednak nic nie wiem ani o wynagrodzeniu, ani o sposobie jego wręczenia...

– O tym już mówiliśmy – zabrał głos brunet. – Wysokość wynagrodzenia zostanie ustalona po dokonaniu oceny materiałów, a pieniądze zostaną wypłacone na hasło w Creditanstalt tu, w Wiedniu. Proszę już do tej sprawy więcej nie wracać – zakończył z wyraźną nutą zniecierpliwienia.

Kowaliki, zanim odezwał się ponownie, musiał opanować skurcz gardła.

– Nie sądzę, aby panowie nie mieli konkurencji. Inne koncerny naftowe na pewno będą ze mną rozmawiać bardziej uprzejmie...

– Ale nawiązał pan kontakt z nami, więc odwrotu już nie ma, panie Kowalski. Proszę to sobie dobrze zapamiętać – rzekł z pogroźką w głosie grubas. – Już pana znamy, więc sądzę, że pamiętając o tym będzie pan postępował rozsądnie. Kiedy pan wyjeżdża?

– Jutro.

– A więc powodzenia. – Grubas wstał z fotela i zwrócił się do milczącego wciąż przewodnika Kowalskiego. – Oddajemy panu naszego gościa. Ustaliliśmy już chyba wszystko.

Nieznajomy podczas powrotnej drogi nadal przez cały czas milczał. Zresztą Kowalskiemu nie zależało na rozmowie, a nawet wołał ciszę, która wraz z ciemnością wypełniała wnętrze wozu. Odtwarzał sobie teraz w myślach przebieg rozmowy, która go rozczarowała. Nie spodziewał się takiego wyniku swojej inicjatywy. Został zepchnięty do roli pacholka, któremu dyktuje się polecenia. Zawiódł się głęboko, ale już było za późno, bo rozważając w pamięci szczegóły spotkania zaczął podejrzewać, że zostało ono nagrane, a on sam sfilmowany. I nie grało już roli, gdzie to się stało – tu, czy u Kaufmana?

Rozdział 2

Instytut Paliw i Smarów mieścił się w nowoczesnym, ale niskim, bo dwupiętrowym budynku przy ulicy Wężowej. Na parterze znajdowały się pomieszczenia administracyjne, pierwsze piętro zajmowała dyrekcja i biuro, drugie pracownie i laboratoria.

Gmach był przestronny, o długich korytarzach. Stał w otoczeniu drzew, oddalony od ulicy podjazdem dla samochodów. Nad wejściem znajdował się betonowy dach, wsparty na dwóch skośnych słupach.

Aby dostać się do znajdującego się na pierwszym piętrze gabinetu profesora Wierzbę, należało przejść przez pokój jego sekretarki.

Smuga słonecznego blasku kładła się tu jasnym pasmem na pancerną kasę i stojącą obok niej oszkloną szafę z segregatorami. Stolik z maszyną do pisania znajdował się z boku, chroniony przed światłem słońca przez na wpół zaciągniętą kolorową zasłonę.

Panna Burska siedziała przy maszynie, ale nie pisała, była bowiem zajęta rozmową. Gdy siedziała, trudno było ocenić walory jej sylwetki, ale skierowane na rozmówcę spojrzenie ciemnych oczu, mimo zawartego w nim wyrzutu, miało wiele uroku.

– Nie męcz mnie! Byłeś dotąd cierpliwy, więc jeszcze trochę zaczekaj...

Mężczyzna, z którym rozmawiała, siedział oparty bokiem o jej biurko. Spoglądał na dziewczynę i bawił się linijką uderzając nią po rozłożonych papierach.

Miał zapewne niewiele ponad trzydzieści lat, ale lśniąco, białe zęby i falujące blond włosy czyniły go jeszcze młodszym. Twarz o twardych rysach, mocnej szczęce i ze zmarszczką na czole wyrażała raczej gniew, czemu przeczył jednak żartobliwy błysk oczu.

– Moja cierpliwość już się wyczerpała – słowom tym towarzyszyło mocniejsze uderzenie linijką. – Chciałbym ci przypomnieć, że to już trzecia nie zwrócona pożyczka!

– Nie bądź taki nudny! – Ładne usta dziewczyny wykrzywiły się w grymasie. – Przesiedziałam sporo wieczorów nad tym cholernym materiałem i dostanę trochę grosza.

Profesor nie jest skąpy, więc sędzę, że wystarczy na pokrycie długu. Zresztą... – urwała i chciała zabrać się do pisania, ale blondyn podjął przerwane zdanie.

– Co z resztą?

Panna Burska uśmiechnęła się.

– Zresztą nie jestem winna aż tyle, żeby robić z tego dramat, szanowny kolego Białomski. A po drugie nie wydaje mi się, aby te pieniądze były ci tak bardzo potrzebne. Przecież ani żony, ani dzieci... Po cóż więc ta bezwzględność w stosunku do biednej dziewczyny...

Panna Lena westchnęła i spojrzała na swego rozmówcę kpiąco, ale i nieco kokieteryjnie.

– Każdy ma swoje kłopoty, biedna dziewczyno. A co do wysokości długu, to mam na ten temat nieco inne zdanie.

– Heniu, dajmy już temu spokój! Śpij spokojnie, forsa będzie, mimo że mnie może tu nie być!

Białomski spojrzał z zainteresowaniem na Lenę.

– A to co nowego?

– Właśnie chciałam się poradzić, bo mimo twego niecznośnego charakteru uważam cię za przyjaciela. Otrzymałam ciekawą propozycję. Jeden z zespołów filmowych zaproponował mi objęcie sekretariatu. Dostałabym dużo więcej, bo o jakieś dwie grupy wyżej...

– Ho, ho... No i zgodziłaś się?

– Sama jeszcze nie wiem – dziewczyna wzruszyła ramionami. – Duża różnica w wynagrodzeniu, ale do starego już się przyzwyczaiłam. Poza tym nie mam tu dużo roboty, tam zaś byłoby na pewno urwanie głowy. Co o tym sądzisz?

Białomski milczał przez chwilę.

– Ja nie zmieniałbym pracy. Już sama dostrzegasz różnicę, a do tego dochodzi obce środowisko i nieznane stosunki. Tu masz święty spokój, bo zjazdy nie odbywają się zbyt często, a tam musiałabyś orać na całego. Zresztą taki szef jak Wierzba też jest coś wart. To porządny człowiek.

– Właśnie. Toteż nie dałam jeszcze ostatecznej odpowiedzi i wciąż się waham.

– Jeśli pytasz mnie o zdanie, to radziłbym nie zmieniać krzeselka. Mówiąc szczerze, nie jesteś pracusiem, bo gdybyś chciała dorobić, to przy twoim opanowaniu maszyny mogłabyś wystukać drugą pensję. Ale ty oczywiście wolisz naciągać na pożyczki naiwnego Białomskiego...

– Właśnie! – dziewczyna roześmiała się, a potem spojrzała na zegarek. – Mimo że masz taką opinię o mojej pracowitości, muszę zabierać się do roboty, bo niedługo zjawi się profesor.

– Kiedy ma przyjść?

– Chyba za godzinę.

– Sympozjum już za tydzień. Dużo zostało do zrobienia?

– Właśnie zaczynam referat oficjalny. Nareszcie!

– A jak maszyna? Po reperacji nie ma już kłopotów?

– Już nie, serdeczne dzięki. Coś jednak w tej administracji przecież robicie.

Białomski odłożył linijkę i wstał z krzesła, rozpoczynając spacer po pokoju.

– Instytut to nie jakaś tam fabryczka – mruknął, a potem spytał: – Nie widziałem dawno Karola, czyżbyście się pokłócili?

– Nie utrzymuję z panem Czepigą na tyle bliskich kontaktów, aby to było ważne... – ostentacyjnie oświadczyła dziewczyna.

– Gadaj zdrowa – trywialnie skwitował tę deklarację Białomski i dorzucił: – Zresztą nie byłoby w tym nic dziwnego. To przystojny chłopak i ma powodzenie...

Panna Burska już bez słowa obróciła się do maszyny i zaczęła zakładać na wałek papier, ale i teraz nie dane jej było zabrać się do roboty, gdyż drzwi otworzyły się bez uprzedniego pukania i na progu stanęła wysoka, szczupła dziewczyna o kasztanowych włosach. Za nią w mroku korytarza zamajaczyła twarz młodego mężczyzny.

– Serwus, Lena – rzuciła, podchodząc do Burskiej. – Jest wujek?
– Jeszcze nie. Telefonował niedawno, że będzie za godzinę.
– To znaczy, że co najmniej za dwie. No, trudno. A, pan Henryk! Dzień dobry panu!
– Dzień dobry, panno Amo... Jak zawsze piękna, beztroska i pełna wdzięku...
– Teraz pan to dopiero zauważył?! Chodź, Raj – obróciła się za siebie. – I pozwól, że cię przedstawię.

Towarzysz dziewczyny był wysokim, młodym mężczyzną z opadającą na czoło grzywą ciemnych włosów. Pod równie ciemnymi brwiami połyskiwały oczy o bystrym spojrzeniu. Ubrany był w granatowe dżinsy i szary pulower.

– Moja ostatnia zdobycz – przedstawiła go Anna.
– Sądziłem, że to ja jestem zdobywcą – roześmiał się młody człowiek i przedstawił się Burskiej: – Skiba.

– Tę iluzję one łaskawie nam pozostawiają – rzucił sentencjonalnie Białomski, ściskając rękę przybyłego, po czym zwrócił się do dziewczyny:

– Niestety, wuj ostatnio jest bardzo zajęty. Może coś powtórzyć, czy pani zaczeka, panno Amelio?

– Z tym zjazdem to istne urwanie głowy! Na nic nie ma czasu! Zostawił mnie zupełnie bez pieniędzy, ale mimo to czekać nie będę.

Kiedy oboje odeszli, Burska mogła wreszcie zabrać się do pisania.

Chyba dziś już nie ma tych samotnych, starych kobiet, które związane luźnymi więzami pokrewieństwa z jakimś domem poświęcały mu swoje życie. Dbały i troszczyły się o wszystko, a młodej generacji – jeśli zaszła taka potrzeba – zastępowały matkę.

Jak daleko sięgał pamięcią w dzieciństwo, właśnie ciotka Antonina martwiła się, czy szalik i rękawiczki ma dostatecznie ciepłe i czy nie zapomniał wziąć do szkoły śniadania.

Jeszcze do niedawna rzadko odwiedzał samotną staruszkę, ale ostatnio wpadał do niej co drugi dzień, póki mała dziewczynka, której otworzył drzwi, nie wręczyła mu zaklejonej koperty.

Była to zwykła, niebieska koperta, bez adresu i bez nazwiska. Nie mogło zresztą być inaczej, ale na pytanie, jak wyglądał człowiek, który wręczył tę kopertę, otrzymał po dziecinnemu mętną odpowiedź.

W kopercie znalazł małą kartkę, na której ktoś napisał drukowanymi literami: „Jutro punktualnie jedenasta, Bazar Różyckiego, pierwszy rząd, pierwsze stoisko z odzieżą, licząc od głównego przejścia. Oglądać koszule, pytać o niebieską w białe paski”.

A więc wysłannik przybył. Należało teraz przygotować się do spotkania.

Na miejscu zjawił się przed jedenastą, by mieć czas na odszukanie właściwego stoiska. Przekonał się rychło, że było ono dobrze wybrane, bo punkt był ruchliwy, a krążący tu tłum kupujących pozwalał na nawiązanie kontaktu bez zwracania czyjejkolwiek uwagi.

O umówionej godzinie podszedł do stoiska. Za zarzuconą towarami ladą stała otyła sprzedawczyni, zachwalając jakieś parze kupujących wybrany przez nich garnitur. Mimo zaabsorbowania transakcją nie omieszkała nawiązać kontaktu z nowym klientem, odwracając się ku niemu.

– A pan szanowny co uważa?

– Chciałbym wybrać jakąś letnią koszulę. Ma pani coś takiego?

Do straganu podszedł młody brunet, co nie uszło uwagi nowego nabywcy.

– A są, są... Jaki numererek pan szanowny nosi?
– Trzydzieści osiem. Ale chodzi mi o niebieską w białe paski...
– Takiej nie mam.
– Jak się masz, stary! – usłyszał. – Co tu kupujesz?
– Letnią koszulę, niebieską w białe paski. Nie mogłem takiej dostać w żadnym ze sklepów.
– Mam pozdrowienia dla Janka Grubera! Powiedz mu, że paczkę otrzyma przez pocztę.
– Poinformuję o tym ciotkę Matyldę. Na pewno się ucieszy.
Sprzedawczyni widząc, że nowy klient przestał interesować się zakupem, zajęła się poprzednimi nabywcami. Oni zaś, idąc obok siebie, wmieszali się w tłum i skierowali ku wyjściu.
– Dziś wieczór – rzucił w pewnej chwili brunet. – godzina dwudziesta druga pod mostem na Karowej. Będę czekał w granatowym fiacie, numery końcowe osiem i siedem. Proszę wziąć z sobą materiał i ów wiadomy panu fragment.
Kiedy znaleźli się przy wyjściu, skinął na pożegnanie głową i bez słowa rozpląnął się w ulicznym tłumie.

Symposium chemików miało odbyć się w ośrodku doświadczalno-szkoleniowym Instytutu Paliw i Surowców. Ośrodek usytuowany był w lesie; prowadziła doń boczna, asfaltowa droga, odchodząca od trasy E7. Dojazd był więc wygodny.

W otoczonym sosnami budynku ośrodka znajdowała się duża sala widowiskowa, w której zwykle wyświetlano filmy czy przezrocza. Obecnie salę tę przeznaczono na obrady, dla dziennikarzy zaś zarezerwowano jedno z pomieszczeń bocznych, w którym zainstalowano dalekopisy i telefony.

Wielki hol wejściowy prowadził do nie mniejszego foyer, poprzedzającego główną salę. Szerokie przejście prowadziło stąd do przeszklonej czytelnicy z dużym tarasem. Obok znajdował się barek kawowy, czynny teraz przez cały dzień. Sekretariat symposiumu zajął natomiast dwa pokoje, położone obok holu wejściowego.

Ogłoszono właśnie przerwę i sala widowiskowa niemal opustoszała. Tylko tu i ówdzie nieliczni uczestnicy zjazdu, stojąc w przejściach, omawiali wygłoszone już referaty. Wszyscy jednak z wielkim zainteresowaniem czekali na referat profesora Wierzby, zapowiedziany po przerwie.

Większość jednak spacerowała po foyer i holu, korzystając z możliwości zapalenia papierosa. Wśród tłumu kręcili się dziennikarze krajowi i zagraniczni, fotoreporterzy i operatorzy filmowych kronik. Tu i ówdzie tworzyły się kiluosobowe grupy – to dziennikarze oblegali bardziej znanych naukowców, którzy odpowiadali na stawiane im pytania, usiłując zachować uśmiech na twarzy. Raz po raz błyskały flesze.

Zajęte były wszystkie miejsca przy stolikach w barze kawowym; dwie przystojne dziewczyny nie mogły nadążyć w obsłudze nagłej fali gości. Ci mieli jednak dość czasu na oczekiwanie, bo przerwa trwała godzinę.

Profesor Wierzba w towarzystwie swojej sekretarki zajął jeden z bocznych stolików, zresztą zarezerwowany zawczasu dla niego. Obsłużony został niemal natychmiast; jego popularność wywarła zapewne swój wpływ i na młode kelnerki.

Niedługo jednak siedzieli sami. Wkrótce przysiadł się do nich asystent profesora Meierbacha z Bazylei, doktor Bern. Doskonale skrojony garnitur podkreślał jego barczystą sylwetkę – raczej sportowca niż człowieka nauki. Zaraz potem przy stoliku profesora znalazł się i doktor Baszir Manami z kairskiego uniwersytetu.

Początkowo brał udział w prowadzonej po angielsku dyskusji, ale zorientowawszy się, że i sekretarka profesora włada tym językiem, wycofał się z rozmowy na tematy fachowe, poświęcając całą uwagę właśnie jej. A ponieważ miał oliwkową cerę i ciemne oczy, panna

Lena nie miała nic przeciw temu. Nie wzięła mu nawet za złe, że niemal od razu, po krótkim tylko wstępie, odkrył swe rzeczywiste zamiary.

– Bardzo mi się podoba wasza stolica – zagaił rozmowę. – To nowoczesna metropolia. – Tak – zgodziła się dziewczyna. – Z roku na rok zmienia się coraz bardziej. Niedługo już zapomnimy, jak wyglądała tuż po wojnie.

– Nie widziałem jej wówczas. Jestem u was pierwszy raz.

– Warszawa po wyzwoleniu była jednym rumowiskiem.

– To doprawdy wstrząsające. Czy istnieją z tego czasu jakieś rysunki lub fotografie?

– I zdjęć, i rysunków jest dużo.

– Czy można je kupić? Może pani mogła by mi w tym pomóc?

Lena roześmiała się.

– Zależy panu na zdjęciach, czy na mojej pomocy?

Doktor Manami roześmiał się również.

– Oczywiście na pani pomocy. Nie znam tu przecież nikogo.

– Niestety, jestem teraz tak zajęta, że nie mam nawet chwili dla siebie!

– Nie tracę jednak nadziei, że znajdzie pani czas na wypicie chociażby filiżanki kawy...

Lena nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż rozmowę przerwało zjawienie się przybysza, który stanął przed ich stolikiem, kłaniając się profesorowi.

Był to mężczyzna po trzydziestce o sięgających kołnierza włosach, skośnie przyciętych bokobrodach i ściągłej, nieomal ascetycznej twarzy. Jego czarne, ruchliwe oczy omiotły towarzystwo szybkim spojrzeniem.

– Przysyła mnie pan Białomski – rzucił półgłosem. – Przywiozłem odebrane właśnie z drukarni zaproszenia na przedstawienie operowe. A tu jest dzisiejsza korespondencja. – Położył przed panną Burską teczkę zawiązaną tasiemką.

– Dobrze, panie Dektura. Proszę podziękować panu Białomskiemu, a zaproszenia pozostawić w sekretariacie kongresu – rzucił z pewnym zniecierpliwieniem Wierzba.

– Już to zrobiłem – Pan Dektura skłonił się lekko. – Czy pan profesor nie ma żadnych poleceń?

– Nie, chwilowo nie. Proszę być jednak w kontakcie z sekretariatem.

Pan Dektura pochylił się w ukłonie i ponownie zlustrował spojrzeniem towarzystwo, a potem odwrócił się, znikając między stolikami.

Doktor Manami znów nie usłyszał odpowiedzi na swoją propozycję, gdyż do towarzystwa przyłączył się nowy gość. Był nim pan Jonatan Levy, korespondent „Wiener Journal” – uśmiechnięty brunet w okularach o czarnej oprawie. Przywitawszy się z profesorem, zagadnął go od razu:

– Czy zna pan ostatnią sensację? – Uśmiechając się bez przerwy, spojrzał po obecnych.

– Cóż tam ma pan nowego? – zainteresował się Wierzba.

– Po raz pierwszy od kilku lat akcje siedmiu szarych sióstr spadły na giełdzie Nowego Jorku i Londynu, i to od razu o trzy punkty!

– Czyżby miało to związek z naszymi obradami?

– Nie tyle z całymi obradami, ile z pana referatem, profesorze. Nie sądzi pan chyba, że przejdzie on bez echa na giełdach świata?

– Sądzę, że zbyt wiele spodziewacie się po tym referacie – rzucił niechętnie Wierzba. – Nie będzie w nim materiału do zrobienia bomby prasowej.

– Wystarczą już tematy zakulisowych rozmów.

– Co to jest te siedem szarych sióstr? – Lena spojrzała pytająco na dziennikarza.

– Nazwę tę nadano na wschodzie zachodnim koncernom naftowym, które, konkurując ze sobą, w pewnych sytuacjach zawierają jednak ciche porozumienia, zwłaszcza jeśli chodzi o kraje arabskie, które w zasadzie uwolniły się od kontroli zagranicznej. Dawne koncesje

wprawdzie jeszcze istnieją, ale w ograniczonej formie, głównie bez prawa decydowania o cenach i poziomie wydobycia.

– Czy nie oznacza to swego rodzaju wojny z Zachodem?

– Oczywiście! – Mister Levy ożywił się coraz bardziej. – Poruszyła pani zagadnienia, w których się specjalizuję, co było zresztą powodem, że zostałem przez swoją redakcję przysłany na ten kongres. Ponieważ kraje zrzeszone w OPEC zdobywają coraz większe kapitały, w pewnych kołach zachodnich zaczynają się obawiać, że za kilka lat państwa te będą w stanie wykupić najważniejsze obiekty gospodarki zachodniej, zakłócać rynki pieniężne, a nawet obezwładnić finansowo każdy kraj! Zresztą już obecnie arabskie państwa zaczynają przejmować avoiry spółek zachodnich. I tak Kuweit Investment Company została powołana jako centrala dyspozycyjna dla lokowania kapitałów naftowych, w Zarządzie Międzynarodowego Funduszu Walutowego zasiada arabski magnat naftowy Anwar Ali, a we władzach Chase Manhattan Bank, First National City i Morgan Guaranty Bank znajdują się szejkwowie i bankierzy arabscy! W USA nazywają to „the new way of banking”. To na odcinku nafty. Poza tym kapitały arabskie coraz głębiej wnikają w gospodarkę Zachodu, przejmując akcje przedsiębiorstw, nabywając tereny, nieruchomości...

– Ciekawe, czym się to skończy?

Levy nie odpowiedział, bo w tej chwili ukazała się Ama. Wymijając kręcących się wśród stolików gości, zbliżyła się do towarzystwa. Tak jak poprzednio towarzyszył jej młody brunet.

– No, nareszcie cię przyłapałam, wujku. – Schyliła się, całując profesora w czoło.

Ten ujął ją za ramię.

– Coś ważnego?

Dzwonił profesor Hańcza. Prosi o telefon, ma jakąś pilną sprawę.

– Stary nudziarz! Wiem, o co mu chodzi! Jak się masz, Rajmundzie – zwrócił się z kolei do towarzysza dziewczyny. – Siadajcie, mamy jeszcze trochę czasu.

Zaczął się zwykły w takich wypadkach przesuwanie i dostawianie krzeseł. Wreszcie Ama ulokowała się pomiędzy panem Bergiem i wujem, a Skiba oddzielił Lenę od dziennikarza, zresztą ku jej zadowoleniu, bo czuła, że wsiadł na ulubionego konika i nieprędko z niego zeskoczy. Od razu więc zagadnęła młodego człowieka:

– Czemu przypisać pana obecność na obradach? Czy tylko osobie Amy?

– To przede wszystkim. Ale obradami interesuję się również jako chemik.

– A więc i pan należy do tego klanu? Nie wiedziałam o tym!

– Nic dziwnego, przecież poznaliśmy się dopiero dzisiaj.

– Ale Amę znam od paru lat. Nic mi o panu nie mówiła.

– Może dlatego, że zostałem zauważony niedawno.

– Cóż za brak spostrzegawczości! – roześmiała się Lena. – A może celowo ukrywała przede mną tę znajomość?

– Jeżeli tak, to miała rację, bo konkurencja jest istotnie niebezpieczna.

Skiba nie omieszkiał poprzeć tej deklaracji wymownym spojrzeniem.

– Nie wchodzę przyjaciółkom w drogę...

– To szkoda. Oczywiście jeśli to prawda.

– Zapewniam pana, że prawda...

– A to pech! A już miałem nadzieję, że może zechce mi pani pokazać jakieś rodzinne zdjęcia... Ostatecznie mogą być nawet znaczki pocztowe...

– Mam z kim spędzać wolne wieczory.

– Nie wątpię. Zazdroszczę mu... – Skiba westchnął ostantacyjnie, a Lena znów się roześmiała, tym razem na tyle głośno, że usłyszała ją Ama. Spojrzała w ich stronę i zwróciła się do Skiby:

– No cóż, motylku, może pofruniemy?

– Poczekał jeszcze chwilę. Przyjemnie mi się gawędzi...

Ama pogroziła mu palcem, ale nic już nie powiedziała, zagadnięta przez doktora Berga. W tym momencie do stolika przecisnął się fotoreporter z aparatem zawieszonym na piersi i fleszem w ręku.

– Panno Heleno – zwrócił się do Burskiej – może dzięki pani uzyskam zgodę profesora na parę zdjęć?

Dziewczyna uniosła głowę.

– Jak się masz! Panie profesorze, to pan Czepiga z agencji fotograficznej. Pozwoli pan?

– Przecież się znamy! Zgoda, skoro ma taką protekcję! To chyba zabieg bezbolesny, młody człowieku? – rzucił z humorem Wierzba.

– Absolutnie tak, panie profesorze! I bardzo krótki!

Błysnął flesz raz, drugi, trzeci, potem Czepiga podziękował ukłonem, Lena zaś wskazała mu wolny taboret przy sąsiednim stoliku.

– Bierz go i przysiadz się do nas. Niestety, przerwa zaraz się kończy.

Czepiga skorzystał z zaproszenia. Skiba obrzucił przybyłego lustrującym spojrzeniem, a potem przesunął się nieco, by zrobić mu miejsce. Fotoreporter był przystojnym szatynem o jasnych oczach i regularnych rysach twarzy. Nieco piegów dodawało jej chłopięcego wyrazu.

Wkrótce potem profesor wstał od stolika, a za nim reszta towarzystwa. Wierzba, idąca za nim sekretarka, do której przyłączył się Czepiga i doktor Manami skierowali się na salę obrad.

W foyer profesor został zatrzymany przez siwego, starszego pana w czarnym tużurku i sztywnym pastorskim kołnierzyku.

– Och, mister Wierzba! – zawołał, wyciągając do profesora rękę. – Zapewne pamięta mnie pan ze zjazdu w Mediolanie?

– Ależ oczywiście, profesorze Blackburn! Witam pana w Polsce!

– Pozwoli pan – Anglik obrócił się ku stojącemu za nim brunetowi o opalonej twarzy – że przedstawię panu mego sekretarza, Filipa Marco. Bardzo chciał poznać tak sławnego człowieka jak pan!

Marco schylił głowę w ukłonie. Kruczoczarne włosy i ciemne, połyskujące oczy czyniły z niego atrakcyjnego mężczyznę. Wymienił uścisk dłoni z profesorem, potem kolejno z panną Burską i Czepigą. Z jego twarzy nie schodził pełen uprzejmości uśmiech.

– Pochodzi z Malty, ale ukończył Cambridge i jest zdolnym chemikiem – uzupełnił prezentację Blackburn, a następnie obaj profesorowie ruszyli na salę obrad. Czepiga musiał wrócić do swoich czynności, więc panna Burska pozostała w towarzystwie Baszira Manami.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI